

główny
PRZEWODNIK

PODLASIE I SUWALSZCZYZNA



slow
PRZEWODNIK

PODLASIE I SUWALSZCZYZNA

Peter Zralek



Tekst: **Peter Zralek**

Redakcja: **Anna Willman**

Korekta: **Małgorzata Haze**

Projekt makiety: **Agata Mościcka**

Projekt okładki: **Aleksandra Zimoch**

Opracowanie graficzne: **Luba Ristujczina Studio Litera –**
www.studiolitera.pl

Schematy i opracowanie graficzne okładki: **Jacek Bronowski**

Ilustracje na okładce: **Dreamstime.com:** © Arkadiusz Fajer

Copyright for text, cover and layout © Wydawnictwo SBM, 2023
Warszawa 2023



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.
ul. Sułkowskiego 2/2
01-602 Warszawa
www.wydawnictwosbm.pl

SPIIS TREŚCI

Podlasie w rytmie słow	4
Białystok. Wielkie miasto Branickich.....	6
Ziemia Knyszyńska. W puszczy i w Supraślu	38
Tykocin i okolice. Miasteczko mozaika	66
Nad Biebrzą. „Dla mnie się tu podoba...”	92
Ziemia Augustowska. Letnia stolica i okolica.....	118
Suwałki. Suwalskie włóczęgi	142
Północna Suwalszczyzna. Mała Litwa	164
Ziemie tatarskie i okolice. Meczety, jurta i sitawskie deskale	184
Narwiańskie wędrówki. Rzeka z bliska	220
Białowieża i okolice. Co piszczy w puszczy?	242
Podlasie Nadbużańskie. Nad piękną dziką rzeką	264
Indeks	287



PODLASIE W RYTMIE SŁOW

Region opisywany w tej książce, jak rzadko który w Polsce, nadaje się do rodzaju turystyki, która nas tutaj interesuje: do podróżowania w rytmie słow. Ciekawie i bez pośpiechu, z zainteresowaniem dla miejscowej kultury, z rozmowami z mieszkańcami, własnymi odkryciami oraz oczywiście z dłuższym lub krótszym wypoczynkiem. A nadaje się do tego Podlasie z wielu powodów — m.in. dlatego, że dość późno włączyło się w ofertę turystyczną i przez to zachowało wiele ze swego pierwotnego, nieskażonego piękna. Dzięki temu „opóźnionemu” startowi może odrzucić z turystyki to, co okazało się w niej niezbyt szczęśliwe, na przykład jej masowość.

Jedną z rzeczy, którą odkryłem, podróżując po Podlasiu, jest to, że jako obszar wymyka się ono zwykłym uogólnieniom. Nie da się go tak łatwo scharakteryzować, jeśli w ogóle czasownik ten jest tu adekwatny. Cóż to bowiem znaczy scharakteryzować region o tysiącletniej historii, powierzchni dwudziestu tysięcy kilometrów kwadratowych (a więc wielkości na przykład Słowenii), z przeszło milionem mieszkańców? Tę niemożność uznaję za kolejny plus Podlasia.

Ale zastąpmy słowo „scharakteryzować” wyrazem „sfotografować”. „Gdybym chciała sfotografować Podlasie tak, by oddać jego duszę, inspirowałabym się obrazami impresjonistów” — napisała Ewa Zwierzyńska, lekarka i pasjonatka regionu oraz autorka m.in. *Podlaskiej mozaiki* (Kielce 2022). I może należy pójść tym tropem? Impresjonizm to w jakimś sensie zapis chwili, ulotności, a także własnego spojrzenia. Może nie należy wcale na Podlasiu szukać jakichś definicji czy wspólnych mianowników, a oddać się po prostu nastrojowi, skupić na szczególnie otoczenia i na codzienności? I mieć na to czas. Dużo czasu.

Nazwę regionu rozszyfrować łatwo. Pochodzi od ziem znajdujących się w sąsiedztwie wielkich lasów (patrzac od zachodu) albo leżących „pod Lachami”, czyli na ziemiach zamieszkiwanych przez Polaków. Ale nigdy nie mieszkaliśmy tu sami. Nawet krótki rzut oka na

jadłospis którejś z lokalnych restauracji nas o tym przekona: kibiny, tatar, żydowski kreplach, białoruski chłodnik czy pruski sękacz — oczywiście jest tego znacznie więcej, można by napisać osobną książkę o kulinarnej podróży przez Podlasie.

Wiele osób, które spotkałem na szlakach tego regionu, podkreślało właśnie jego wielowymiarowość. Ktoś powiedział, że bogactwem Podlasia są ludzie i przyroda. Ale czy tej deskrypcji nie dałoby się odnieść i do innych części kraju, a może i zagranicy? Szczególnie jeśli chodzi o ludzi?

Historyk Adam Dobroński napisał o Podlasiu, że jest regionem trudnym do zrozumienia „na wrywki” i nie nadaje się do byle jakiego opisanie. „A jak się tu żyje?” — pyta w książce *Podlaskie. Przyroda, historia, współczesność* (Białystok 2021). „Na te i inne pytania nie ma prostych odpowiedzi. I bardzo dobrze”.

Łatwo natomiast odpowiedzieć na pytanie, co na Podlasiu można dziś robić. Bo można właściwie wszystko. Są tu lasy do wędrówek, rzeki i jeziora do pływania i spływów, ścieżki rowerowe, intrygujące miasteczka czekające na odkrycie i wsie z fascynującymi dziejami. Jest wspianała i zróżnicowana kuchnia, roi się od świetnych miejsc na piknik, grilla, hamak, leżak bądź na rozłożenie koca. Jeśli leżenie, byczenie się czy spanie chcemy wydłużyć, znajdziemy tu wiele wygodnych, fantastycznie położonych miejsc noclegowych: starych siedlisk i domów, którym obecni gospodarze — ludzie nietuzinkowi i pełni pięknych pasji — podarowali drugie życie. O nich także piszemy w tej książce.

Wielki mędrzec Wschodu, Lao Tzu mówił, że dobry podróżnik nie ma ustalonych planów, a i niekoniecznie zależy mu na dotarciu do konkretnego celu. Tu nasuwa się sentencja rodzaju tych nieco już ogranych, wedle której podróż jest życiem, a życie podróżą. Ale być może i cel wędrówki po Podlasiu ujawni się nam dopiero na miejscu? A może wpadniemy też na coś innego, właśnie wtedy, gdy staniemy nad podlaską rzeką, płynącą jak jej się żywnie podoba, nad skrajem prastarego lasu czy na rozdrożu bądź przecięciu zwirowych traktów udających ulice w przygranicznej wsi. Bo jak mówią nasi sąsiedzi z Północy: tylko ten, kto wędruje, odnajduje nowe ścieżki.

BIAŁYSTOK

WIELKIE MIASTO BRANICKICH

Do Białegostoku powinno się chyba dotrzeć pociągiem. Miasto — jak na słabo zaludnione okolice — jest gigantyczne. *Wielkie miasto Białystok*, tak zatytułował w 1973 roku swoje miniatury Sokrat Janowicz, znakomity białoruski i polski pisarz z Krynek. Stolica Podlasia swoje rozmiary i rozwój zawdzięcza w dużej mierze trakcji kolejowej. I to nie byle jakiej: carskiej Petersburg—Białystok—Warszawa. Prawdziwej kropłówece, która dźwignęła osadę z poziomu zaścianka do metropolii.

Najbardziej dynamiczny rozwój nastąpił za okupacji rosyjskiej, czyli gdy ziemie te były pod zaborem. Nie pobierano tu cła, co zwabiło fabrykantów. Wielu z nich przybyło ze wschodu, byli to tzw. Litwacy. Białystok został Manchesterem Północy. By oddać sprawiedliwość dziejom, należałoby jechać tą koleją od północy.







Muzeum Wnętrz
Pałacowych
w Choroszczy

s. 23

Pomnik małego
Zamenhofs

s. 13

Centrum
im. Ludwika
Zamenhofs

s. 12

Dawna
Szkoła Realna

s. 13



Muzeum
Pamięci Sybiru

s. 27

Mural
z Zamenhoffem

s. 13

Popiersie
Zamenhofs
na skwerze
im. Adamowicza

s. 15

Śladami
Zamenhofs

s. 12



Kościół pw. Chrystusa
Króla i św. Rocha

s. 11



Nocleg
w Kamienicy

s. 37



Drewniana
zabudowa
w Bojarach

s. 34

1,5 km

350 m



Muzeum
Podlaskie
w Ratuszu

s. 26



Kuchnia
kresowa
w Babce

s. 18



Dworzec PKP

s. 9

2 km

250 m



Pies Kawelin

s. 29

Gorąca czekolada
w Wedlu

s. 19

Buza
w Żubrowisku

s. 19

500 m

1,5 km



Muzeum Rzeźby
Alfonsa Karnego

s. 29



Zespół
pałacowo-parkowy
Branickich

s. 20



Szlak murali

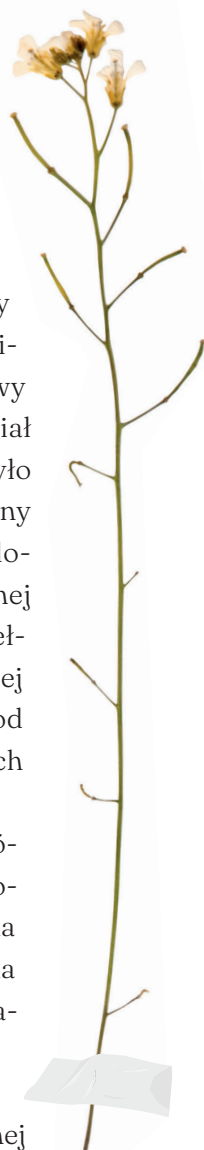
s. 36

DWORZEC WIZYTÓWKA I PIERWSZE WRAŻENIA

Jadę jednak z południa, z Warszawy. Kwadrans przed dojazdem po prawej stronie torów widzę setki powalonych drzew. To wynik ostatnich wichur. Drzewa, które dały odpór, stoją w wysokich trawach i w wodzie. Wygląda to jak dorzecze Orinoko. Chciałem napisać „dorzecze Amazonii”, ale z broszurki regionalnego biura turystycznego dowiaduję się, że termin ten od lat jest zarezerwowany dla rejonu środkowej Narwi.

Po minięciu rojstów — takich prawdziwych, jak z powieści Konwickiego — pociąg wtacza się na **dworzec**. Budynek, podobnie jak miasto, jest monstrualnie duży. Co zaskakujące, znajduje się po lewej stronie torów, podczas gdy w większość miast jest po prawej. Jeśli chodzi o te rozmiary... W sumie być może o to chodziło: by mieć podróżnego już przy przyjeździe „w parterze”, jak to mówią zapaśnicy. To piękna wizytówka Białegostoku. Powstał w 1861 roku, podczas budowy linii kolejowej łączącej Warszawę z Petersburgiem. Ruch musiał być duży, bo już pod koniec XIX stulecia dworzec trzeba było rozbudować. Spłonął pod koniec I wojny światowej, podpalony przez wycofujące się z miasta wojska rosyjskie. Został odbudowany, ale niedługo cieszył się świetnością — w czasie kolejnej wojny został zbombardowany, a na przywrócenie mu w pełni dawnego blasku trzeba było czekać aż do początku trzeciej dekady XXI wieku. Warto było, bo remont i modernizacja pod okiem konserwatora zabytków uwzględniły elegancję i rozmach budowli z czasów, kiedy imponowała carskim splendorem.

Mimo że mój stary roncato jest już bez dwóch z czterech kółek i walizka stawia opór na żwirze, idę zobaczyć wewnątrz. Z kolumnami oplecionymi kapitelami i łukami dworzec przypomina osławiony hotel Ritz. Hotel, którego tu już nie ma, ale który na fotografiach dumnie prezentuje m.in. tutejsze Centrum im. L. Zamenhofa. We wzniesionym w 1913 roku Ritzu jako pierwszym budynku w mieście zainstalowano windy (drewniane). A Białystok jako jedyne miasto w Polsce miał hotel tej ekskluzywnej sieci. Stał dumnie na rogu dzisiejszych ulic Kilińskiego i Pałacowej i wedle info w Centrum został bezmyślnie zniszczony przez



„wyswobadzających” miasto Sowietów. Jako symbol zgniłego kapitalizmu. Hotel miał własne kino, salon fryzjerski, a także centralne ogrzewanie. Makietę Ritza można zobaczyć w **Muzeum Historycznym** (to jeden z oddziałów Muzeum Podlaskiego w Białymstoku) urządzonym w kamienicy Cytronów przy ulicy Warszawskiej 37.

Nie lubię uproszczeń i stereotypów, ale to, co rzuciło mi się w oczy pierwszego dnia pobytu w Białymstoku, to czystość śródmieścia oraz wielu mieszkańców w strojach sportowych, by nie powiedzieć w dresach. Ale przede wszystkim ich jakaś gracia i uprzejmość, a także to, co tak na gorąco określiłbym jako „białostocką dosłowność”. Dwojakiego zresztą rodzaju. Przykłady. Napis na tablicy przed główną siedzibą **Muzeum Podlaskiego** w Ratuszu głosi: „Otwarte codziennie oprócz poniedziałków”. A pod spodem jeszcze uściślenie, że obiekt jest otwarty we „wtorek, środę, czwartek, piątek, sobotę i niedzielę”. Tablica przy placu na południe od centrum informuje: „Skwer Lecha i Marii Kaczyńskich”. Pod tym uzupełnienie: „Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z Małżonką”. Lekko komicznym wariantem tej dosłowności (czy może już czegoś innego?) jest też na przykład cena kawy. Podwójne espresso kosztuje tu dokładnie tyle co dwa pojedyncze. Jestem pewny, bo sprawdziłem w co najmniej trzech miejscach. Wyjaśnienie dla osób niepijących espresso: na całym świecie za podwójne espresso płaci się o 30–50 procent więcej niż za pojedyncze.

Na razie jednak wysiadłem z pociągu i idę w kierunku śródmieścia. Pierwsze wrażenia są ważne. Szeroka ulica zastawiona jest nowymi, niczym niewyróżniającymi się budynkami z szyldami w rodzaju „Nieruchomości”, „Ciuszki dziecięce”, „MMA, brazylijskie jiu-jitsu”... Od razu zauważam też, że sporo tu dużych tablic informacyjnych. Będę więc może pierwszym autorem tego typu publikacji, który zasugeruje podróżnemu co następuje: pieniądze przeznaczone na przewodnik turystyczny lepiej wydać tu na przykład na butelkę regionalnego rzemieślniczego piwa bądź buzę (co to takiego — o tym nieco dalej). Na ulicach



znajdziemy więc obiekty ze Szlaku Architektury Drewnianej, Szlaku Esperanto, Szlaku Wielokulturowego, Szlaku Białostockich Fabrykantów... Niektóre z plansz, sygnowane herbem i napisem „Prezydent Miasta Białegostoku”, zatytułowane „To, czego nie ma...” (chyba powinno być „To, czego j u ż nie ma...”), przedstawiają zniszczone zabytki, opisane w trzech językach: po polsku, angielsku i w esperanto. Najbliżej dworca znajdują tablicę prezentującą kościół Misji Barbikańskiej. Tej świątyni już nie ma, ale po lewej stronie mijam wspaniały biały gmach na wzgórzu. To **kościół pw. Chrystusa Króla i św. Rocha**. Mlecznobiała świątynia mająca zaledwie kilkadziesiąt lat jest jednym z pierwszych – i bardzo udanych – przykładów modernizmu zastosowanego w architekturze sakralnej. Jeśli ktoś planował w Białymstoku wejście tylko do jednego kościoła, to wybór będzie prosty.

Tak jak przez życie, tak i przez miasta najlepiej iść w towarzystwie. Obejrzę więc Białystok tropem trzech jego mieszkańców, z których jeden jest właściwie jego założycielem.



ŚLADAMI ZAMENHOFA

— *Bonan matenon. Mi rendevuon kun vi hodiaŭ...* („To ja się z panią umawiałem na dziś...”).

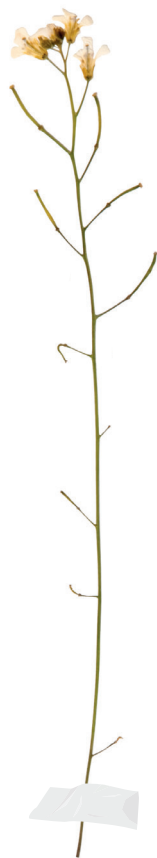
— Raczej *bonan tagon*, bo już jest po południu — odpowiada pani Agnieszka Kajdanowska. Jest pracowniczką Centrum im. Ludwika Zamenhofa przy ulicy Warszawskiej 19 i ekspertem jeśli chodzi o życie i dzieło twórcy języka esperanto. Nie znam esperanto, powyższe słowa, by nieco zaimponować, wkułem w bramie przed wejściem.

Ludwik Zamenhof urodził się w Białymstoku 19 grudnia 1859 roku. Czy esperanto mogło powstać w innym miejscu? Może tak, a może nie. Pod jedną z fotografii miasta na wystawie w Centrum znajduję zdanie ze wspomnień Zamenhofa: „Miejsce, gdzie się urodziłem i spędziłem dzieciństwo, nadało kierunek moim próbom stworzenia języka (...)”. Na innym widać tłumny plac. To obecny Rynek Kościuszki. „Musi Pan pójść na Rynek Kościuszki”, napisała do mnie pani Agnieszka, gdy



w pierwszym liście spytałem o główne miejsce w Białymstoku związane z twórcą esperanto. Dziś przy końcu ulicy Zamenhofa dobiegającej od północy do Rynku stoi spiżowa figura Ludwika w szkolnym mundurku i teczką w lewej ręce. Chyba nieco spłoszonego wielojęzyczną, głośnie gawiedzią na placu, zbitkami słów, których zapewne w większości nie rozumiał. To miejsce zwano kiedyś placem Bazarnym. Tu krzyżowały się nie tylko języki mieszkańców (rosyjski, niemiecki, jidysz, polski, białoruski, litewski itd.), ale i ich interesy, ambicje, emocje. Krzyżowały się też religie. Ktoś porównał ratusz do biblijnej wieży Babel górującej nad tym chaosem. Sam Zamenhof napisał tu — miał wtedy dziewięć lat! — sztukę *Wieża Babel, czyli tragedia białostocka w pięciu aktach*. Sądził, że powodem wielu konfliktów między ludźmi (czy narodami) jest po prostu brak zrozumienia, istnienie różnych języków. Zgodził się z nim później Juliusz Verne, który wspominał kiedyś, że „Klucz do wspólnego języka, straconego na wieży Babel, może być tylko odnaleziony przez używanie esperanta”. Początkowo Zamenhof, zamiast wymyślać nowy język, chciał wskrzesić łacinę, świetnie funkcjonującą przecież w średniowieczu jako język uniwersalny. Uznał jednak, że jest za trudna. Więc tu, na białostockim rynku zrodził się pomysł nowego, sztucznego i łatwego do opanowania języka, którym mogliby porozumieć się wszyscy.

Placu tego nie uwzględnia broszurka *Szlak esperanto i wielu kultur*, wydana przez Urząd Miejski w Białymstoku. Ale wszyscy to miejsce przecież znają. To serce miasta, nadal — mimo braku przedwojennych kramów — pełne zgiełku, ruchu i barw, a przy pierzejach kuszące zapachem dobrej kawy. Na planie Urzędu Miejskiego są inne „esperanckie” miejsca, m.in. dawna **Szkoła Realna**, sto metrów dalej na północ od Centrum, przy ulicy Warszawskiej 8, do której chodził (w latach 1869—1873) Ludwik Zamenhof. Przy końcu wspomnianej ulicy Zamenhofa (odchodzącej od Rynku), na fasadzie budynku pod numerem 26 znajduje się **mural Andrzeja Muszyńskiego**. Malarz, pochodzący z Poznania, przedstawił na środkowym balkonie korpulentnego Zamenhofa, jednak całe show kradnie, jak to się mówi w branży rozrywkowej, para namalowana poniżej. Na parapecie otwartego okna dwaj białostoccy esperantyści: Jakub Szapiro i Abraham Zbar, siedzą sobie beztrósko,





wywijając letnimi kapeluszymi komicznie zawieszonymi na stopach (to odwzorowanie archiwalnego zdjęcia z lat 30. minionego stulecia). Miejsce nie zostało wybrane przypadkowo. Do lat 40. XX wieku stał tu obok dom rodzinny twórcy esperanto. Ulica nazywała się wtedy Zielona; została przemianowana dzięki staraniom Jakuba Szapira, dziennikarza i działacza społecznego (Szlak Esperanto uwzględnia także jego dom rodzinny przy ulicy Lipowej). Na najwyższym balkonie muralu stoją współcześni białostoczanie z balonikami w olimpijskich kolorach symbolizujących międzynarodową wspólnotę ponad podziałami, wspólnotę, której służyć miał właśnie język esperanto.

Sto metrów dalej na zachód, przy skwerze im. Pawła Adamowicza znajduje się popiersie dojrzałego Zamenhofa. Napis w języku stworzonym przez białostoczanie głosi: „Esperanto zbliża narody”.

— Zamenhof nie chciał się identyfikować z jakimkolwiek kręgiem kulturowym, religijnym czy nawet językowym — mówi pani Agnieszka. — Miał pomysł wolnych stanów Europy. Miał taką nadzieję... *Esperanto* to w stworzonym przez niego języku osoba mająca nadzieję.

Początkowo sztuczny język zwano Lingvo Internacia. Jego podstawy Doktor Esperanto, czyli Zamenhof, opublikował w książce wydanej w 1887 roku, której repliki można kupić w Centrum. Podręcznik zatytułowany był *Международный языкъ (Język międzynarodowy)*. Rosyjski był oficjalnym językiem zaborcy, ale i domowym (podobnie jak jidysz) rodziny Zamenhofa.

Zgadzam się z panią Agnieszką, że tego typu działanie jak uczenie się języka esperanto w PRL otwierało swoje okno na świat, dawało namiastkę wolności, pozwalało wyjść poza granice szarego baraku demoludów. W tym zapewne zbliżone było do euforii krótkofalowców nasłuchujących odgłosów tzw. wolnego świata zza żelaznej kurtyny.

Esperanto słynie z łatwości budowania słownictwa. Reguły są proste i pozwalają tworzyć bardzo długie słowa, takie jak znalezione przeze mnie w sieci *ekstertekstprilaborilularanindkunvenejetegmanierismo*. Co znaczy mniej więcej tyle co „etykieta obyczajów i stylu przebywania poza niewielkim miejscem zgromadzeń, które godne jest członków grupy stypendystów zajmujących się edytowaniem tekstów”.

Mural Andrzeja Muszyńskiego upamiętniający esperantystów:
Ludwika Zamenhofa, Jakuba Szapirę i Abrahama Zbara

— *Kio estas la plej amuza vorto en Esperanto?* („Jakie jest najśmieszniejsze słowo w języku esperanto?”). *Bulko* („bulka”)?

— Jest ich wiele i pewnie różne śmiesznych w zależności od języka ojczystego uczącego się — odpowiada Agnieszka Kajdanowska. — U nas dzieci śmieją się np. z *glasiaĵoj* (wym. głasjażoj), co znaczy „lody”. Zabawna jest też taka wyliczanka:

Punkto, punkto (kropka, kropka),
Streko, streko (kreska, kreska),
Ronda estas la kapeto (okrągła jest główka),
Jen oreloj, buso, nazo (oto uszy, usta, nos),
Kaj ĉapelo — mija aĵo (i kapelusz moja rzecz).



— Ostatni wiersz nieco przerobiliśmy na potrzeby naszych warsztatów — mówi z uśmiechem pani Agnieszka — warsztatów, które nazywają się „Kapelusz z Centrum Zamenhofa”.

Przeglądałam długą listę ostatnich imprez. Instytucja organizuje ich wiele, odwiedza z wykładami i prezentacjami szkoły, a jej inicjatywy związane są nie tylko z językiem esperanto.

— Szukamy porozumienia między podziałami — podkreśla moja rozmówczyni. Wertuję publikację *Religie Podlasia* wydaną przez Centrum wspólnie z Białostockim Ośrodkiem Kultury. Ze zdumieniem czytam takie słowa jak minbar czy mezusa wymienione obok ambony. Na stronie 15 znajduję *Słowa, które warto znać...* i definicję dialogu. To „rozmowa, wymiana poglądów, prezentowanie swoich racji i argumentów z jednoczesnym poszanowaniem stanowiska rozmówcy, nawet wtedy, gdy jest zupełnie odmienne od naszego”. Świetna robota — przyznaję w duchu i od razu pojawia się myśl, że przydałoby się takich pomysłów w Polsce więcej.

— Ta zielona flaga z gwiazdą...

— To flaga esperancka — wyjaśnia pani Agnieszka. — Kolor, podobnie jak nazwa języka, symbolizuje nadzieję.

Nadzieję na porozumienie się narodów, zakończenie swarów i wojen. Nadzieję pozostającą nadzieją. W tym znaczeniu esperanto nie wypaliło. Szkoda, że nie uczymy się go w szkołach.

— Przed wojną był pomysł, by wprowadzić język w białostockich szkołach — dodaje moja rozmówczyni.

Powodów niepowodzenia łatwego w nauce, ale sztucznego języka było zapewne wiele, m.in. rozwój technologii w krajach anglojęzycznych i ich kulturowa hegemonia, nawet wygranie przez aliantów II wojny światowej (Europa Wschodnia została wtedy z rosyjskim). Esperantysty pocieszają się rozległą siecią kontaktów między setkami tysięcy władających tym językiem. Esperanta używa — obok innych języków — wiele instytucji i organizacji międzynarodowych, by wymienić choćby Międzynarodową Akademię Nauk San Marino. Od 1990 roku Stolica Apostolska zezwala na odprawianie mszy w tym języku (Jan Paweł II błogosławił *Urbi et Orbi* również po esperancku). W 1908 roku próbowano wprowadzić esperanto jako język oficjalny w kondominium Moresnet, niewielkim państewku wciśniętym między Belgię, Holandię i ówczesne Prusy (to obecnie część niemieckojęzycznej gminy Kelmis w Belgii). W Polsce Julian Tuwim tłumaczył na esperanto własne i cudze wiersze (m.in. Leopolda Staffa). Pani Kajdanowska wspomniała o świetnym przedwojennym tłumaczeniu na esperanto *Pana Tadeusza* (autorem przekładu był Antoni Grabowski). Na poznańskim Uniwersytecie Adama Mickiewicza prowadzone są studia w tym języku. Jednym z problemów esperanta jest skromna literatura w tym języku, choć są i pisarze używający go we własnej twórczości, jak Manuel de Seabra (Katalonia) czy poeta Mauro Nervi (Włochy).



NA RYNKU. PRZERWA NA BABKĘ I BUZĘ

No ale zrobiło się wczesne popołudnie i już *mi estas malsata* (esp. „jestem głodny”). Najlepszym lokalem, by popróbować regionalnej kuchni, jest **restauracja Babka** (ulica Lipowa 2) z czerwono-białym szlaczkiem na fasadzie i wejściem od strony Rynku (północna pierzeja) — nie może leżeć w miejscu bardziej widocznym i dogodnym. Znajdziemy tu kulinarną reprezentację wszystkich kuchni kresowych, m.in. chłodnik litewski, barszcz ukraiński, śledź po białorusku, żydowski czulent oraz kiszkę ziemniaczaną ze śmietaną i surówkę z kiszzonej kapusty, być może najpopularniejsze danie na Podlasiu. Jest też kruszewski ogórek i sałatka z serem z Korycina. Ogórek i ser są na liście produktów tradycyjnych Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Gdyby ser miał być jeszcze bardziej tradycyjny, jako podpuszczki do jego produkcji należałoby, jak dawniej, użyć wysuszonych i startych



żołądków cielących. Do popicia oczywiście domowy kompot, na deser sękacz, zwany też gdzieniegdzie dziadem (albo bankuchem).

Jednym z piękniejszych wewnątrz w Rynku Kościuszki jest **kawiarnia Wedla** w kamienicy przy zachodniej pierzei. Warto tu wpaść na zajęcia w konwencji słow, w tym wypadku może to być leniwe rozkoszowanie się gorącą czekoladą. W miejscu tym mieścił się kiedyś ulubiony lokal artystów Marszand. Na tyłach dawnego ratusza znajduje się knajpa o nazwie **Żubrowisko** (dawna Esperanto Cafe). Tu też można zjeść coś regionalnego, choćby kartacze czy babkę ziemniaczaną z mięsem, ale miejsce zasłynęło wskrzeszeniem **buzy**. To popularny w okresie przedwojennym bezalkoholowy napój robiony z kaszy jaglanej. Ma orzeźwiający, kwaskowaty smak i podaje się go często ze słodką chałwą. Wtedy jego pełna nazwa powinna brzmieć jak kiedyś: „buza u Makiedońców”, czyli Macedończyków, mieszkających dawniej w Białymstoku. „Niebo w gębie” mówili podobno o nim kiedyś w mieście. W gębie na pewno napój buzował, stąd nazwa.

Wymienione powyżej lokale leżą na **Kulinarnej szlaku dawnego Białegostoku**. Dawnych restauracji już nie ma, ale smaki po latach pieczołowicie przywołano. A co na szlaku? Miejsca idealne na dłuższe posiedzenia, ale także takie, gdzie można się zaopatrzyć na piknik czy kupić kulinarne prezenty dla rodziny i bliskich — w obliczu takich potrzeb najlepszym wyborem będzie Lech. Garmazernia Staropolska — w jej sklepach firmowych dobrze poczuć się amatorzy słynnego kindziuka i innych wędlin, kiszki domowej, ziemniaczanej, warzywnej, rozmaitych gołąbków czy bigosu podlaskiego. Jest nawet chłodziec litewski w słoikach. Pawilon Towarzyski to wspomnienie kultowej młodzieżowej kawiarenki z czasów PRL, z wyraźnym nawiązaniem do wzornictwa epoki. W **Na Prawo Bistro** (lokal nie tylko dla studentów prawa) znajdziemy niedrogą buzę, a w piątce świeży kugelis (żydowski pierwowzór podlaskiej babki ziemniaczanej) z sosem grzybowym. A jeśli mamy ochotę na kiszkę ziemniaczaną prosto z pieca, to taką właśnie serwuje w soboty i niedziele Gospoda Podlaska na Rynku Kościuszki. Szlak nie jest oznakowany, ale na stronie szlaki.bialystok.pl przygotowano do ściągnięcia stosowny folder.

ŚLADAMI BRANICKICH

Tak sobie — już po obiedzie — myślę, że może opis Białegostoku należało jednak zacząć od Branickich... Bez tej rodziny miasta by po prostu nie było, na pewno nie w tej formie. Mieszkańcy zresztą o tym pamiętają. W czerwcu z okazji imienin Jana, czyli Jana Klemensa Branickiego, organizowane są Dni Miasta Białegostoku.

Nazwałbym rodzinę Branickich marką czy znakiem firmowym miasta, gdyby innego zdania nie był jego prezydent. „Pola słoneczników i kolorowych kwiatów oraz polacie rzepaku to znak firmowy Białegostoku” — mówił w „Tygodniku Powszechnym” (nr 18– 19/2022) Tadeusz Truskolaski. „Wygląd miasta jest dla nas zawsze ważny, a łąki poprawiają estetykę, bo przełamują monotonię miejskiego krajobrazu”. W artykule roi się od danych liczbowych, ale przytoczę tylko tyle: w obrębie Białegostoku jest 10 hektarów łąk.

Zielenią otoczony jest też **pałac Branickich**, który dziś może nie wyznacza już centrum miasta, ale jego historyczny punkt ciężkości. Barokowa rezydencja, niegdyś na rubieżach Rzeczypospolitej, a zatem Europy (przynajmniej takiej, jaką dostrzegano z Paryża czy Londynu), łatwo wytrzymałaby konkurencję z wieloma rodzinnymi posiadłościami Toskanii czy południa Francji. Oczywiście, już nie z dzisiejszym wnętrzem, czyli szkolnymi ławkami Akademii Medycznej. Wzniesiona w XVIII wieku na planie podkowy budowla miała 178 pomieszczeń (to o pięć więcej niż rezydencja królewska w Oslo), większość pysznie urządzonych. Od rozbiorów pałac przechodził zmienne dzieje. Był wielokrotnie niszczone. W czasie I wojny światowej Niemcy urządzili w nim szpital polowy.

W rozmowach z Małgorzatą Czyńską najbardziej znany podlaski artysta Leon Tarasewicz wspominał, jak to raz pewnego, jako dzieciak ze wsi, zaszedł z mamą do pałacu Branickich i przeżył rozczarowanie. „U nas w cerkwi w Grodku było ciekawiej”, stwierdził (*Nie opuszczam rąk*, Wołowiec 2021).

To rzecz jasna sprawa subiektywna, co nas interesuje, a co nie. Nie ma też jakoś powszechnie uznanej definicji zabytku. Według niektórych, by coś mogło zostać obdarzone tym mianem, musi się wykazać







odpowiednim wiekiem. Białystok nie jest miastem starym. Wedle dostępnych przewodników jego najstarszą zachowaną budowlą jest kościół z 1621 roku stojący przy wschodniej pierzei rynku. No, to byśmy już to mieli z głowy...

Wracamy do pałacu. Część jego reprezentacyjnych pomieszczeń można zwiedzać. W tym celu przygotowano dwie trasy, podczas których poznamy dzieje rezydencji, jej dawnych mieszkańców i znamienitych gości. Dowiemy się tu m.in., że w czasach największej świetności Branicki mieli tu prywatny teatr, zespół baletowy i stałą orkiestrę. Nad ich zdrowiem czuwał sztab medyków, a dziś w skrzydle, które zajmowali, działa Muzeum Historii Medycyny i Farmacji, ciekawe, choć ludzie o słabych nerwach i bogatej wyobraźni mogą poczuć się cokolwiek nieswojo na widok dawnych przyrządów stomatologicznych czy chirurgicznych.

Niektórzy autorzy, pisząc o pałacu, kierują podróżnego do innej siedziby Branickich w pobliskiej **Choroszczy**. To dobry trop, ale nie do końca. Majątek w Choroszczy, do którego można z Białegostoku dojechać samochodem w dwadzieścia minut, to raczej dworek, acz piętrowy. Otoczony wodą kanałów z rozległą zielenią tworzy scenierię nadającą się świetnie na przedłużony piknik *al fresco*, jak mówią Włosi. W sielance pomogą żaby w fosach — żaden gatunek chroniony, „zwykle kumkały”, jak informuje pani z **Muzeum Wnętrz Pałacowych**. Tak nazywa się oficjalnie to miejsce, choć wystrój sal jest dość skromny. Tak Branicki raczej nie mieszkali. Nie pomogą tu napisy w rodzaju „Pokój jaśnie pani”. Najciekawszy jest zresztą chyba sam przedsiönek z wielką figurą nagiego Afrykańczyka dzierżącego latarnię oświetlającą wejście schodami na piętro.

W sumie jednak bardziej niż ocalałe rezydencje Branickich zaimponował mi pojedynek jednego z nich z Casanovą. A może jeszcze bardziej słowa rannego polskiego szambelana, którego dźgnął Włoch. Ale po kolei.

Słynny wenecki kochanek Giacomo Casanova przyjechał do Polski jesienią 1765 roku i na dzień dobry dostał od króla Stanisława Augusta Poniatowskiego dwieście dukatów. Sporo, ale facet był już znany

(polski władca musiał mieć niezłych speców od PR-u). Nic dziwnego, że Wenecjanin polubił nasz kraj już w chwili przekroczenia jego granicy. Inną przyjemnością, o której wspomina podróżnik lowelas, było — napiszę, że jest nadal (odwiedziłem dotąd 94 kraje, więc wiem, o czym mówię) — kontemplowanie urody tutejszych kobiet. Pieniądze królewskie przydały się zresztą nie tylko na to, by godnie wypaść w ich oczach. Włoch spłacił nimi część karcianych długów. A do pojedynku doszło z powodu — rzecz jasna — damy. Za namową tancerki Anny Binetti, Franciszek Ksawery Branicki (jeden z jej kochanków) zwyzywał Wenecjanina od nikczemników. To nie mogło się skończyć inaczej. Długo spierano się jednak o rodzaj broni: Branicki był chyba bardziej nowoczesny, proponując pistolet, a może miał słabszą rękę, bo gość znad Laguny preferował szpadę. Pojedynek trwał krótko. Wedle Casanovy ciężko ranny Branicki miał rzęzić: „Zabił mnie pan. Niech pan ucieka, bo grozi panu szubienica. Jeśli nie ma pan pieniędzy, proszę wziąć moją sakiewkę” (Roberto Gervaso, *Casanova*, tłum. Halina Kralowa, Warszawa 1990). Myślę, że to — abstrahując już od absurdalności całego zajścia — godne i piękne słowa, szczególnie kogoś, kto jak by się wydawało, był już jedną nogą na tamtym świecie. A jednak Branicki jakoś się z tej awantury (i ran) wykaraskał. Może to przypadek, ale w trakcie mojej wizyty w Białymstoku słynny tutejszy Teatr Lalek wystawiał akurat *Dzienniki Casanovy*. W papierowej wersji znajduję je w witrynie księgarni przy ulicy Lipowej.

Piszę do Fundacji Branickich w Warszawie, by się dowiedzieć szczegółów pojedynku, i pan Adam Rybiński spokojnie tłumaczy, że to nie ten Branicki. To znaczy to nie Branicki z gałęzi białostockiej, czyli herbu Gryf, wyzwał na pojedynek Casanovę, lecz Branicki herbu Korczak.

— W Polsce były dwa znaczne rody Branickich — uściśla Rybiński. — Branicy herbu Gryf — potomkowie rycerza księcia łżyckiego Jaksy z Miechowa, i Branicy herbu Korczak. Rody te poza nazwiskiem niegdyś nic nie łączyło [z czasem za sprawą jednej z pań Potockich jednak się połączyły — przyp. P.Z.]. Pojawienie się Gryfitów na Białostocczyźnie wiąże się ze Stefanem Czarnieckim i z tym, iż otrzymał on od Rzeczypospolitej za swe zasługi Tykocin i inne ziemie na Podlasiu.



Czarnecki miał dwie córki, a mężem starszej z nich był przodek hetmana Jana Klemensa Branickiego, dobroczyńcy Białegostoku. (...). To starszej córce i jej mężowi przekazał Czarnecki w spadku większość podlaskich dóbr. W ten sposób mający swe posiadłości na południu [w Małopolsce – przyp. P.Z.] Gryfici zjawili się na Podlasiu.

– Hetman Jan Klemens Branicki był ostatnim z Gryfitów?

– Tak. (...) To pretendent do polskiej korony, pokonany przez Stanisława Augusta Poniatowskiego, a przede wszystkim przez sprowadzone przez Czartoryskich wojska rosyjskie.

Więcej o rodzie Branickich można się dowiedzieć z szeregu publikacji, a dobre portrety zobaczyć w głównej siedzibie **Muzeum Podlaskiego** przy białostockim rynku.

MUZEUM W RATUSZU

Budynek, funkcjonujący kiedyś jako ratusz, został odbudowany po rozbiórce dokonanej po przejściu Armii Czerwonej. Niech nie zmylą podróznego niewielkie rozmiary tego miejsca – kolekcja jest absolutnie warta zobaczenia. Już stojący w przedsionku przy schodach do obowiązkowej szatni *Odpoczywający Hermes* dobrze rokuje. To



oczywiście kopia antycznej rzeźby, jedna z setek, które można znaleźć w Europie. Ale jaka kopia! Przyglądam się jej dłużej i pracownik muzeum spieszy z wyjaśnieniami: „Znaleziono ją przy torach w 1945 roku. Pewno wypadła z transportu rosyjskiego”. Dobrze reprezentowane jest tu malarstwo polskie (m.in. dzieła Olgi Boznańskiej, Stanisława Wyspiańskiego, Juliana Fałata, Jacka Malczewskiego, Stanisława Ignacego Witkiewicza).

MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU

Jednym z najnowszych obiektów w mieście, które koniecznie trzeba zobaczyć, jest otwarte w 2021 roku **Muzeum Pamięci Sybiru** (ulica Węglowa 1). Od rynku dojdziemy tam w dwadzieścia minut, idąc ulicą Sienkiewicza na północ. Po przekroczeniu torów kolejowych skręcamy w lewo.

Zbiory umieszczono w odrestaurowanych magazynach wojskowych, sąsiadujących z bocznica kolejową, która jest częścią ekspozycji. Stąd „(...) odjeżdżały w bydłych wagonach transporty ludzi, których Sowietzi uznali za niebezpiecznych dla swej władzy na zagarniętych przemocą Kresach” — pisze w przedmowie do katalogu dyrektor muzeum profesor Wojciech Śleszyński. Wystawa jest świetnie zaprojektowana i nowoczesna, bogata w multimedia, z szeroko zakreśloną perspektywą. Ale najciekawszy (i najbardziej wzruszający) są milczący świadkowie tych lat, nie zdjęcia nawet, lecz przedmioty: tzw. piesek do zdejmowania butów oficerskich, kufajka i łyżka łagienika, hełm kawaleryjski z wielką dziurą, butelka po rosyjskiej wódce, porzucone skrzypce...

Warto też rzucić okiem na nowoczesną siedzibę muzeum zaprojektowaną przez białostockiego architekta Jana Kabaca — budynek pokryty w całości stalową blachą (w środku znajdziemy m.in. restaurację serwującą dania kresowe, a także księgarnię). Obok gmachu muzeum wyrósł las stalowych słupów o wieloznacznej symbolice: z jednej strony mogą przywołać na myśl stracone istnienia, ludzi, którzy na Sybir wyjechali i nigdy z niego nie wrócili, z drugiej zaś — bezkresną i mroźną syberyjską tajgę.

